

O poezji, malarstwie i powinowactwie sztuk. Rozmowa z Maciejem Mazurkiem

Nie szukam w malarstwie poezji. Staram się malować to, jak jawi mi się byt. Malarstwo wymaga dyscypliny, systematyczności. To rzemiosło w pierwszym rzucie. Poezja to wybuchy mocy, epifanie, jakieś chwilowe wzmożenia emocjonalne – mówił Maciej Mazurek w rozmowie z Wiesławem Ratajczakiem.

Wiesław Ratajczak: Przyznać trzeba, że lojalnie Pan uprzedza czytelników, co ich czeka, gdy zaczną czytać ten nowy zbiór poezji. Wybite na okładce słowo „Żywioły” zapowiada: nie będzie spokoju, chłodnej ironii, obojętności, kameralności. To, co pierwsze – ogień, woda, powietrze, ziemia – charakteryzowane jest w Pana w wierszach poprzez kontrast, napięcie, zderzenie, gwałtowne wyładowanie. Czy bardzo się pomylę, jeśli wyobrażę sobie poetę na podobieństwo Williama Turnera, który podczas burzy kazał się przywiązać do masztu, żeby znaleźć się w centrum starcia żywiołów?

Maciej Mazurek: Niestety, nie ma we mnie aż takiej romantycznej żarliwości, aby naśladować wielkiego malarza. Chociaż wielokrotnie, gdy malowałem w plenerze zafascynowany zjawiskami atmosferycznymi, nie uciekałem przed burzą i deszczem. Nie odżegnuję się od tradycji romantycznej. Zresztą trudno się zdystansować, skoro jestem polskim poetą. Poezja, tak jak ją rozumiem, jest pewną metodą

poznawczą. Ezra Pound zauważył, że artyści to system nerwowy gatunku. Coś jest na rzeczy w tym stwierdzeniu. Gottfried Benn, niemiecki poeta przerażony istnieniem, w jednym z wierszy pisał: mam świadomość, że pracuje we mnie trzeciorzęd. Lubię metaforę błyskawicy, która rozświetla noc. Przez ułamki sekund można zobaczyć to, co niewidzialne. Oczywiście, że uruchamiam w świadomości stary platoński mit jaskini. Albo on sam się uaktywnia, jako moje bardzo realne przeżycie.

Fascynujące jest wyobrażenie poety – archeologa wyobraźni, docierające do zasypanych, zapomnianych form widzenia i rozumienia świata.

Bardzo mnie w poezji interesuje praca neolitycznej lub jeszcze starszej „tradycji”. Wiersz to zawsze epifania, zapisuję ją jako pośrednik, swoiste medium. Gdy poddawałem taki wybuch epifanii, samą zasadę tworzenia poezji opisowi analitycznemu, czasami towarzyszyło mi odczucie, że to ścieżka ku jakiejś formie szaleństwa, według racjonalnych standardów naszej epoki. Ale te racjonalne standardy to nic innego, jak zakamuflowana forma ekonomicznej optymalizacji. W pewnym momencie przestałem badać zasadę istnienia epifanii jako takiej, a zdecydowanie istotniejsza dla mnie zaczęła być jej treść. W tradycji klasycznej poeci nawiedzani przez muzy i raczej dobre duchy, czego życzył sobie Czesław Miłosz, dochodzili do ściany tego, co wyrażalne i wtedy pojawiał się francuski idiom *je ne sais quoi*, nie wiem co, nie wiem jak. To takie poetyckie dojście do ściany płaczu i niejasnych przeczuc. Z tej perspektywy widać dziwność świata, dziwność istnienia i cudowny fenomen, jakim jest jaźń, świadomość, że się istnieje i funkcjonuje w tym cyrku śmieszno-strasznym.

Żywioty obiektywnie i od zawsze istnieją, są wobec człowieka zewnętrzne, a jednak ludzka świadomość pozwala je opisać, co więcej – i ona staje się polem ich starcia. Pisze Pan o wierszach, które nie są przypadkowe, ale muszą się pojawić. Co jest warunkiem ich niezbędności? Kiedy rodzą się te naprawdę konieczne?

Jestem częścią natury, najbardziej skomplikowanym bytem w przyrodzie, więc już z tej naturalnej racji żywioty hulają we mnie jak w każdym człowieku. Mam taką wspaniałą demokratyczną świadomość jedynej trwałej zasady równości, którą narzuca nam natura. Rzecz jasna – chodzi o śmierć. W poezji interesuje mnie opisanie żywiołów pośrednio przez obraz dziania się przyrody i o jakiś fikcyjny moment przewyciężenia własnej śmiertelności. To drugie jest istotniejsze. Moment otwierania się perspektywy poznawczej na byt, jawienie się świata w jaźni ma w sobie jakąś narzucającą się konieczność. Wtedy pisanie poezji wydaje się czymś, od czego nie można się uchylić. Tak jak w przypadku miłości. Wielu dotkniętych uczuciem staje się poetami. Muszą pisać. Grafomania wtedy kwitnie, ale jaka wspaniała grafomania! Oczywiście, może to moja indywidualna, poetycka mitologia, może jakieś prawo z epoki romantyzmu, epoki mającej obsesje na tle ducha? Ta narzucająca się konieczność, na szczęście, nie jest zanadto natrętna, bo któż by chciał żyć w stanie ciągłej euforii? Mój dorobek poetycki jest bardzo skromny.

Wracając do pierwszego pytania: trudno jest mi oddzielić Pana malarstwo od wierszy. Nie myślę o związkach tematycznych, choć pejzaż często zdaje się być wspólny. Relację między dwoma

dziedzina sztuki traktuje Pan jednak znacznie poważniej. Czy mogę prosić o rozwinięcie formuły z Pana wiersza – rzecz w tym, by dać „transkrypcję obrazu na język szybki, celny, nieomylny”?

Relacja między poezją a malarstwem nie była nigdy przedmiotem jakiejś mojej szczegółowej refleksji. Mam bardzo silne poczucie *differentia specifica* każdej ze sztuk. Poezja to poezja, dziedzina języka, malarstwo to malarstwo, dziedzina widzialności, koloru i przestrzeni doświadczanych niejako bezpośrednio.

Czyli doświadczą Pan dwóch różnych sposobów ekspresji, wymagających innych umiejętności i emocji, innego rodzaju skupienia?

To duży przywilej. Nie szukam w malarstwie poezji. Staram się malować to, jak jawi mi się byt. Malarstwo wymaga dyscypliny, systematyczności. To rzemiosło w pierwszym rzucie. Poezja to wybuchy mocy, epifanie, jakieś chwilowe wzmożenia emocjonalne, że pozwolę sobie na autoironię. Zauważyłem, że czasami po kilku dniach pracy w plenerze zaczynałem pisać wiersze, jako swoiste komentarze do czynności malowania. Ściganie bytu jest zawsze daremne, kreowanie silnej sugestii, że oto mamy coś uniwersalnego, ponadczasowego w obrazach, które jawią mi się w jaźni, które właśnie namalowałem. Ale w ponawianiu wysiłku jest jakaś obsesja, za nią kryje się poszukiwanie przyjemności wyższego rzędu.

Malowanie i pisanie byłyby więc bardzo odmiennymi pracami artysty, ale wzajem się stymulującymi.

Ta fraza, by dać „transkrypcję obrazu na język szybki, celny, nieomylny”, jest, być może, wyrazem rozczarowania niedoskonałą realizacją malarską, świadectwem marzenia i porażki jednocześnie. Nie oznacza to, że obraz, który jest tą „porażką”, jest złym obrazem. Wręcz przeciwnie. Może być bardzo dobrym obrazem, otwierającym nową drogę, ku kolejnym realizacjom, w których uda się złapać byt. Trochę jak fizyk teoretyk w fizyce kwantowej. Czytałem ostatnio kilka popularnonaukowych książek. Im więcej się poznaje, tym zwiększa się intuicja tego, czego nie wiemy. Las problemów robi się puszcza. Metafizyka, rzecz jasna, wkracza dziś w postaci fizyki kwantowej. Byt to wizualizacje przepływów i pulsowania energii. Jako malarz maluję „realistycznie” te sekwencje, które wydają mi się najpiękniejsze, dlatego domagające się trwałości w obrazie sztalugowym. To takie łapanie ryb z głębin. Tak się złożyło, że najwspanialsze odsłony tego bytu ujawniły się moim oczom na Ziemi Sierakowsko-Międzychodzkiej.

„Poezja nie może być szczerą” – przestrzega Pan w jednym z wierszy. Ale o pewnym szczerym poecie, którego obaj znaliśmy, napisał Pan wiersz tkliwy, głęboko życzliwy. Myślę, że kwestia szczerości jest w tym zbiorze jedną z najważniejszych, niezłatwionych i dręczących.

To jest bodajże uwaga Oscara Wilde’a. Ale, rzecz jasna, nie chodzi o preparowanie fałszu, tylko raczej o lęk przed nadmierną prostolinijnością i sentymentalizmem. Jednak nie chcę się jawić jako cynik, naigrywający się z prostoty serca. Miłosz w wierszu o Annie Kamieńskiej poruszył ten problem w kontekście tego, co można określić mianem demoniczności poezji wobec, no właśnie, poety chrześcijańskiego, wierzącego w dobro. Wiersz, o którym Pan mówi,

jest wyrazem sprzeciwu wobec radykalnego nihilizmu. Napisałem go na wiadomość o śmierci Marcina Rychlewskiego, poety i profesora polonistyki. Rozmawialiśmy kilka razy o poezji. Jego szczerość mnie drażniła, gdyż nie lubię otwartych wyznań nihilizmu. Ale trudno nie było zobaczyć dramatu człowieka-poety, uwikłanego w sztukę traktowaną ze śmiertelną powagą. Ten wiersz jest cierpki i bardzo szczery. Nie przestrzegam w nim wcale zasady, że nie wolno być szczerym nadmiernie i aby to ukryć, z konieczności braku szczerości uczyniłem ramę, aktywne tło całego wiersza. W sztuce prawdę tworzy się z małych kłamstw. Chciałem tym wierszem ocalić pamięć Marcina Rychlewskiego, szalenie interesującego artysty, spadkobiercy romantyzmu i jednocześnie badacza kultury. Ten wiersz to polemika z mitem poetów przeklętych, ale taka, aby tego mitu nie oceniać ani nie destruować jakąś poststrukturalistyczną metodą badawczą. W każdym razie: na pogrzebach poetów pożądana jest Msza Koronacyjna Mozarta. Ten postulat podtrzymuje.

Także tych poetów, których twórczość rodziła się w cieniu nihilizmu...

W tym wierszu jest jakaś polemika z poezją nihilistyczną. Sztuka jest dla mnie raczej odwracaniem uwagi od tego, co nieodwołalne. Poezja to jakaś forma ochrony ducha, sposób odnowienia sił witalnych, sfera równoważąca lub wręcz rzucająca wyzwanie życiowym metabolizmom, w które jako ludzie jesteśmy tak boleśnie często uwikłani. Mam taką zasadę, że jeśli nie jestem zdolny do afirmacji świata, to nie piszę poezji. Być może to tłumaczy, dlaczego mój dorobek jest skromny (śmiech). Ale szczerość lub jej brak nie jest problemem. Po prostu dobra poezja nie może być szczerą.

Rozmawialiśmy o Pana malarstwie, wspomnę o jeszcze jednym polu: o działalności publicystycznej, którą prowadzi Pan konsekwentnie od kwietnia 2010 r. Wiersze z „Żywiołów” nie są na powierzchni polityczne, ale w głębszych warstwach dotyczą jednak żywiołów aktywnych w sferze publicznej. Jeden z wierszy zaczyna się od słów „jestem polskim poetą”, a bycie nim wiąże się ze służbą i spokojem ducha. Oryginalny pogląd, a czy nie anachroniczny, jakby wyjęty na przykład z Wincentego Pola (znakomitego poety)?

Wskazał Pan na datę 10 kwietnia 2010 roku. Wcześniej także pisałem teksty publicystyczne, ale nie z takim natężeniem. Nie jestem zdolny do pisania wierszy publicystycznych, zaangażowanych. To jest, być może, jakiś defekt. Publicystyka pozwalała w moim przypadku spełnić się instynktowi politycznemu. Wiersz, o którym Pan mówi, rzeczywiście jest taki programowy i dotyczy związku między poetą, ojczyzną i służbą. Bodajże Arystoteles zauważył, że tym, co może dać człowiekowi w miarę trwałe zadowolenie, spełnienie, jest ofiarność. Tak to zostało ontologicznie urządzone. Traktowanie życia jako służby w szerokim sensie to pragmatyczny wybór. Dopadła mnie intuicja, która była potwierdzeniem zasady opisanej przez Arystotelesa. Nic w tym zresztą odkrywczego. Ale żyjemy w takich czasach, że oczywistym rzeczom należy przywracać rangę. Zerwanie związku języka ze światem, czyli katastrofa semantyczna i aksjologiczna, jest faktem. Polski poeta musi mieć tego głęboką świadomość, świadomość zakorzenioną w języku i czasoprzestrzeni, w którą zostałem wrzucony, inicjowany w byt – jak lubię to nazywać. A co do Wincentego Pola, to, że taki pogląd wydaje się anachroniczny, jest złudzeniem, wynikającym z faktu, że żyjemy w czasach zdominowanych przez bałwochwalczy kult ekonomii, a wcześniej historycyzm.

Określenie „poeta kultury” trąci podręcznikiem i koturnowym klasycyzmem. Pana zbiór nie poddaje się tej łatwej formule, kontekst wybitnej sztuki jest dla tych wierszy czymś naturalnym. Wymieńmy wspomnianych przez Pana w tym tomie artystów: Mierzejewski, Giorgione, Mickiewicz, Brahms, Goethe, Kawafis, Cézanne, Mozart, Herbert, Montale, Haendel, Marek Aureliusz, Canetti, Wordsworth, Coleridge... Nawiązania do nich nie mają charakteru erudycyjnych popisów, wariacji na temat, ani – tym bardziej – parodystycznych drwin. Proszę mi pomóc określić obecną w Pana wierszach zażyłość z wybitnymi dziełami ludzkiego umysłu.

Rozumiem Pana zastrzeżenia. Nie lubię określenia „poeta kultury”. Poezję robi się z materii życia. Talent to nic innego, jak dobry słuch nakierowany na tę materię. Ten naturalny kontekst wybitnej sztuki, jak Pan to pięknie nazwał, jest po części zabiegiem pragmatycznym. Uczepić się nogawek geniuszy? Dlaczegoż nie. Po to oni, geniusze, istnieją. Co prawda, szkoła resentmentu robi wszystko, aby ich „uspołecznic”, to znaczy zdetronizować, ale właśnie prawem kontrastu do tej ideologicznej obróbki można zobaczyć estetyczne lśnienie literatury, która odsłania świat z jego bogactwem i z jakąś pierwotną surowością. Przywołam to popularne stwierdzenie Bernarda z Chartres: Jestem karłem na barkach olbrzymów i jest mi z tym bardzo dobrze. Wdzięczność odczuwam wobec tych duchów, bo pomogły rozjaśnić moją egzystencję. Jakże dzięki nim moje życie jest bogatsze. Byłem już wielokrotnie opisany, zanim zjawiłem się na świecie. Moje nawiązania są zawsze formą hołdu. Kiedyś na jednym z wieczorów autorskich ktoś mnie zapytał, kto dla mnie jest mistrzem poezji. Wypaliłem automatycznie: Mozart. Dzięki tej – jak Pan to nazwał – zażyłości, poszerzył się zakres rozumienia magii życia, także z jego

demonicznością. Otrzymałem narzędzia pozwalające rozumieć świat i rozwijać jaźń także od wielu sobie współczesnych przyjaciół. I to za darmo! Trochę w tym, co mówię, jest pensjonarskiego tonu i egzaltacji. Ale co tam!

Stałą od lat przestrzenią Pana poezji jest prowincja. W Żywiołach także są obecne międzychodzkie okolice. Czy dlatego, że w tej mniejszej skali można zobaczyć coś ludzkiego, czego nie widać w wymiarze wielkiego miasta, gdzie 'jednostka zerem'? A może tam wyraziściej widać realność życia, jeszcze nie zastąpionego systemem odbić?

Wieża kościoła w Międzychodzie pozostaje wciąż najwyższym budynkiem w okolicy. W Sierakowie jest piękny kościół w stylu rzymskiego Baroku. Cenię ten rzymski Barok, bo chroni przed pokusą miłości bezkresu. Co do tej realności życia, rzekomo bardziej dostrzegalnej na prowincji niż w wielkich miastach, to nie mam takiego poczucia. Raczej chodzi o spokój. Pracować można tylko w spokoju, daleko od tych wszystkich napięć, które wnoszą do życia lucyferowy pośpiech, jaki niesie tzw. nowoczesne życie społeczne.

Do czterech żywiołów dodaje Pan dwie odwieczne siły: poezję i śmierć. Są w tym zbiorze do głębi przejmujące epitafia bliskich i najbliższych Panu ludzi. Oswajanie śmierci, uczenie się jej – to brzmi bardzo banalnie, ale czy nie tak rozumieć trzeba rolę poezji?

Rola poezji z pewnością nie jest wychowawcza. Poezja niczego nie uczy. Nie daje wskazówek dobrego życia. Jest, jak mnie się zdaje, subtelną formą energii życiowej, miejscem ujawnienia jakiegoś naddatku znaczeń, ukazującego tajemniczość tego, co z pozoru oczywiste. Tylko tyle i aż tyle, można rzec. To także zdolność opisywania świata pozbawiona jakichkolwiek innych intencji oprócz przyjemności czerpanej z mocy ujawnienia jakiejś prawdy osobistej, która, mam nadzieję, jest czymś więcej niż tylko moją osobistą prawdą.

Rozmawiał Wiesław Ratajczak

Przeczytaj wybrane wiersze Macieja Mazurka z tomu Żywioty i obejrzyj galerię jego obrazów